wolnelektury.pl

Tadeusz Borowski

# Proszę państwa do gazu

Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

TADEUSZ BOROWSKI

# *Proszę państwa do gazu*

Cały obóz chodził nago. Wprawdzie przeszliśmy już odwszenie i ubrania dostaliśmy z powrotem z basenów napełnionych rozpuszczonym w wodzie cyklonem, który znakomicie truł wszy w ubraniach i ludzi w komorze gazowej, a tylko bloki odgrodzone od nas hiszpańskimi kozłami nie „wyfasowały[1]" jeszcze ubrań, to jednak i ci, i tamci chodzili nago: upał był okropny. Obóz ściśle zamknięto. Żaden więzień, żadna wesz nie śmie się przedostać przez jego bramę. Ustała praca komand. Cały dzień tysiące nagich ludzi przewalało się po drogach i placach apelowych, leżakowało pod ścianami i na dachach. Spano na deskach, gdyż sienniki i koce były w dezynfekcji. Z ostatnich bloków widać było FKL[2] — tam też odwszawiali. Dwadzieścia osiem tysięcy kobiet rozebrano i wypędzono z bloków — właśnie kotłują się na wizach, drogach i placach.

Od rana czeka się na obiad, je się paczki, odwiedza się przyjaciół. Godziny płyną wolno, jak to w upale. Nawet zwykłej rozrywki nie ma: szerokie drogi do krematoriów są puste. Od paru dni nie ma już transportów. Część Kanady[3] zlikwidowano i przydzielono na komando. Trafili na jedno z najcięższych, na Harmenze[4], jako że byli wypasieni i wypoczęci. W obozie bowiem panuje zawistna sprawiedliwość: gdy możny upadnie, przyjaciele starają się, by upadł jak najniżej. Kanada, nasza Kanada, nie pachnie wprawdzie, jak Fiedlerowska, żywicą[5], tylko francuskimi perfumami, lecz chyba nie rośnie tyle wysokich sosen w tamtej, ile ta ma ukrytych brylantów i monet zebranych z całej Europy.

Więzienie

Właśnie siedzimy w kilku na buksie[6], beztrosko machając nogami. Rozkładamy biały, przemyślnie wypieczony chleb, kruchy, rozsypujący się, drażniący trochę w smaku, ale za to niepleśniejący tygodniami. Chleb przysłany aż z Warszawy. Jeszcze tydzień temu miała go w rękach moja matka. Miły Boże, miły Boże...

Chleb, Matka

Wyciągamy boczek, cebulę, otwieramy puszkę skondensowanego mleka. Henri, wielki i ociekający potem, marzy głośno o francuskim winie przywożonym przez transporty ze Strasburga, spod Paryża, z Marsylii...

— Słuchaj, *mon ami*[7], jak pójdziemy znów na rampę, przyniosę ci oryginalnego szampana. Pewnie nigdy nie piłeś, nieprawda?

— Nie. Ale przez bramę nie przeniesiesz, więc nie bujaj. Zorganizuj lepiej buty, wiesz, takie dziurkowane, z podwójną podeszwą, a o koszulce już nie mówię, dawno mi obiecałeś.

— Cierpliwości, cierpliwości, jak przyjdą transporty, przyniosę ci wszystko. Znów pójdziemy na rampę.

— A może już nie będzie transportów do komina? — rzuciłem złośliwie. — Widzisz, jak zelżało na lagrze, nieograniczona ilość paczek, bić nie wolno. Pisaliście przecież listy do domu... Rozmaicie mówią o rozporządzeniach, sam przecież gadasz. Zresztą, do cholery, ludzi zabraknie.

Pozycja społeczna, Więzień, Jedzenie

[1] *wyfasować* — pobrać a. wydać z magazynu wojskowego żywność, umundurowanie, broń itp. [przypis edytorski]

[2] *FKL* — *efkael*, skrót od niem. *Frauenkonzetrationslager*: kobiecy obóz koncentracyjny. [przypis edytorski]

[3] *Kanada* — grupa więźniów przebywających w obozie dłuższy czas, zajmujących się rozładunkami transportów, uważana za uprzywilejowaną. [przypis edytorski]

[4] *Harmenze* a. *Harmense* — podobóz, w którym do stawu rybnego więźniowie zsypywali popiół ze zwłok palonych w krematoriach. Podobóz Harmense powstał na terenie dawnej wsi Harmęże. [przypis edytorski]

[5] *Kanada, nasza Kanada, nie pachnie wprawdzie, jak Fiedlerowska, żywicą* — nawiązanie do książki Arkadego Fiedlera pt. *Kanada pachnącą żywicą*. [przypis edytorski]

[6] *buksa* — prycza. [przypis edytorski]

[7] *mon ami* (fr.) — mój przyjacielu. [przypis edytorski]

— Nie gadałbyś głupstw — usta otyłego, o uduchowionej jak z miniatur Coswaya[8] twarzy marsylczyka (jest moim przyjacielem, ale imienia jego nie znam) zapchane są kanapką z sardynkami — nie gadałbyś głupstw — powtórzył przełykając z wysiłkiem („poszło, cholera!") — nie gadałbyś głupstw, ludzi nie może zabraknąć, bobyśmy pozdychali na lagrze. Wszyscy żyjemy z tego, co oni przywiozą.

— Wszyscy, nie wszyscy. Mamy paczki...

— To masz ty i twój kolega, i dziesięciu twoich kolegów, macie wy, Polacy, i to nie wszyscy. Ale my, Żydki, ale Ruskie? I co, gdybyśmy nie mieli co jeść, *organisation* z transportów, to byście tam te swoje paczki tak spokojnie jedli? Nie dalibyśmy wam.

— Dalibyście albo byście zdychali z głodu jak Grecy. Kto ma żarcie w obozie, ten ma siłę.

— Wy macie i my mamy, o co się sprzeczać?

Pewnie, nie ma o co się sprzeczać. Wy macie i ja mam, jemy wspólnie, śpimy na jednej buksie. Henri kroi chleb, robi sałatkę z pomidorów. Świetnie smakuje z kantynową musztardą.

W bloku, pod nami, kotłują się ludzie, nadzy, ociekający potem. Łażą między buksami w przejściu, wzdłuż ogromnego, inteligentnie zbudowanego pieca, między ulepszeniami, które stajnię końską (na drzwiach wisi jeszcze tabliczka, że „*versuchte Pferde*" — zarażone konie, należy odstawiać tam a tam) przemieniają w miły (*gemütlich*) dom dla ponad pół tysiąca ludzi. Gnieżdżą się na dolnych pryczach po ośmiu, dziewięciu, leżą nadzy, kościści, cuchnący potem i wydzielinami, o zapadniętych głęboko policzkach. Pode mną, na samym dole — rabin; nakrył głowę kawałkiem szmaty odartej z koca i czyta z modlitewnika hebrajskiego (tej lektury tu jest...), zawodząc głośno i monotonnie. Modlitwa, Religia, Żyd

— Może by się tak zdało go uspokoić? Drze się, jakby Boga za nogi złapał.

— Nie chce mi się z buksy złazić. Niech się drze, prędzej do komina pójdzie.

— Religia jest opium dla narodu. Bardzo lubię palić opium — dodaje z lewej sentencjonalnie marsylczyk, który jest komunistą i rentierem.

— Gdyby oni nie wierzyli w Boga i w życie pozagrobowe, już by dawno rozwalili krematoria.

— A dlaczego wy tego nie zrobicie?

Pytanie ma sens metaforyczny, lecz marsylczyk odpowiada.

— Idiota — zapycha usta pomidorem i czyni ruch, jakby chciał coś powiedzieć, ale zjada i milczy. Kończyliśmy właśnie wyżerkę, gdy u drzwi bloku uczynił się większy ruch, odskoczyli muzułmani[9] i rzucili się, uciekając między buksy, do budy blokowego wleciał goniec. Za chwilę majestatycznie wyszedł blokowy.

— Kanada! *Antreten*[10]! Ale szybko! Transport przychodzi.

— Wielki Boże! — wrzasnął Henri, zeskakując z buksy.

Marsylczyk zadławił się pomidorem, chwycił marynarkę, wrzasnął *raus*[11] do siedzących na dole i już byli we drzwiach. Zakotłowało się na innych buksach. Kanada odchodziła na rampę.

— Henri, buty! — krzyknąłem na pożegnanie.

— *Keine Angst!*[12] — odkrzyknął mi już z dworu.

Opakowałem żarcie, owiązałem sznurami walizę, w której cebula i pomidory z ojcowskiego ogródka w Warszawie leżały obok portugalskich sardynek, a boczek z lubelskiego „Bacutilu"[13] (to od brata) mieszał się z najautentyczniejszymi bakaliami z Salonik. Owiązałem, naciągnąłem spodnie, zlazłem z buksy.

— *Platz!*[14] — wrzasnąłem, przeciskając się między Grekami. Odsuwali się na bok. We drzwiach natknąłem się na Henriego.

— *Allez, allez, vite, vite!*[15]

---

[8] *Cosway, Richard* (1742–1821) — angielski malarz portretowy, znany ze swoich miniatur. [przypis edytorski]

[9] *muzułman* (z niem. *Muselmann*) — w gwarze obozowej: osoba skrajnie wycieńczona fizycznie i psychicznie głodem i chorobami, pozbawiona podstawowych odruchów życiowych. [przypis edytorski]

[10] *antreten* (niem.) — tu: do szeregu. [przypis edytorski]

[11] *raus* (niem.) — wynocha, precz. [przypis edytorski]

[12] *keine Angst!* (niem.) — bez obaw! [przypis edytorski]

[13] *Bacutil* — nazwa przedsiębiorstwa zajmującego się m.in. utylizacją resztek zwierzęcych. [przypis edytorski]

[14] *Platz!* (niem.) — miejsce! (tu w zn.: z drogi!). [przypis edytorski]

[15] *Allez, allez, vite, vite!* (fr.) — naprzód, naprzód, żywo, żywo! [przypis edytorski]

— *Was ist los*?[16]

— Chcesz iść na rampę z nami?

— Mogę pójść.

— To jazda, bierz marynarkę! Brakuje paru ludzi, rozmawiałem z kapem[17] — i wypchnął mnie z bloku.

Stanęliśmy w szeregu, ktoś spisał nam numery, ktoś od czoła wrzasnął „marsz, marsz" i pobiegliśmy pod bramę, odprowadzani okrzykami różnojęzycznego tłumu, który już zapędzano bykowcami do bloków. Nie każdy może iść na rampę... Już żegnano ludzi, już jesteśmy pod bramą. — *Links, zwei, drei, vier! Mützen ab*[18]*!* Wyprostowani, z rękami sztywno przyłożonymi do bioder, przechodzimy przez bramę raźno, sprężyście, nieomal z gracją. Zaspany esesman, z wielką tabliczką w ręku, liczy ospale, oddzielając w powietrzu palcem każdą piątkę.

— *Hundert!*[19] — krzyknął, gdy minęła go ostatnia.

— *Stimmt!*[20] — odkrzyknięto ochryple od czoła.

Maszerujemy szybko, prawie biegiem. Postów dużo, młodzi, z automatami. Mijamy wszystkie odcinki obozu II B: niezamieszkały lager C, czeski, kwarantanna, zagłębiamy się między grusze i jabłonie *truppenlazarettu*[21]; wśród nieznajomej, jakby z księżyca zieleni, dziwnie w tym kilkudniowym słońcu wybujałej, omijamy łukiem jakieś baraki, przechodzimy linie wielkiej *postenketty*[22], biegiem wpadamy na szosę — jesteśmy na miejscu. Jeszcze kilkadziesiąt metrów — wśród drzew rampa.

Była to sielankowa rampa, jak zwykle na zagubionych, prowincjonalnych stacjach. Placyk, obramowany zielenią wysokich drzew, wysypany był żwirem. Z boku, przy drodze, kucnął maleńki, drewniany baraczek, brzydszy i tandetniejszy od najbrzydszej i najtandetniejszej budy stacyjnej, dalej leżały wielkie stosy szyn, podkłady kolejowe, zwały desek, części baraków, cegły, kamienie, kręgi studzienne. To stąd ładują towar na Birkenau: materiał do rozbudowy obozu i ludzi do gazu. Zwykły dzień roboczy: zajeżdżają samochody, biorą deski, cement, ludzi...

Rozstawiają się posty na szynach, na belkach, pod zielonym cieniem śląskich kasztanów, ścisłym kołem otaczają rampę. Ocierają pot z czoła, piją z manierek. Upał ogromny, słońce stoi nieruchomo na zenicie. — Rozejść się! — Siadamy w skrawkach cienia pod szynami. Głodni Grecy (zaplątało się ich paru, diabli wiedzą, jakim sposobem) myszkują wśród szyn, ktoś znajduje puszkę konserw, spleśniałe bułki, niedojedzone sardynki. Jedzą.

— *Schweinedreck*[23] — spluwa na nich młody, wysoki post[24], o bujnych płowych włosach i niebieskim, marzącym spojrzeniu — przecież zaraz będziecie mieli tyle do żarcia, że nie przeżrecie. Odechce się wam na długo. — Poprawił automat, otarł twarz chustką.

— To bydło — potwierdzamy zgodnie.

— Te, gruby — but posta dotyka lekko karku Henriego. — *Pass mal auf*[25], chce ci się pić?

— Chce, ale nie mam marek — odpowiedział fachowo Francuz.

— *Schade,* szkoda.

— Ależ, *Herr Posten*, czy moje słowo nic już nie znaczy? Nie handlował *Herr Posten* ze mną? *Wieviel*[26]?

— Sto. *Gemacht*?[27]

— *Gemacht*.

Pijemy wodę, mdła i bez smaku, na konto pieniędzy i ludzi, których jeszcze nie ma.

---

[16] *Was ist los?* (niem.) — Co jest?, Co się stało? [przypis edytorski]

[17] *kapo* — więzień pełniący funkcję dozorcy pozostałych więźniów. [przypis edytorski]

[18] *Links, zwei, drei, vier! Mützen ab* (niem.) — W lewo, dwa, trzy cztery! Ściągać czapki! [przypis edytorski]

[19] *hundert* (niem.) — sto. [przypis edytorski]

[20] *stimmt* (niem.) — dobrze, zgadza się. [przypis edytorski]

[21] *Truppenlazarett* (niem.) — szpital wojskowy. [przypis edytorski]

[22] *Postenkett* (niem.) — łańcuch posterunków na granicach obozu. [przypis edytorski]

[23] *Schweinedreck* (niem.) — świńskie gówno. [przypis edytorski]

[24] *post* (z niem.) — esesman-wartownik. [przypis edytorski]

[25] *pass mal auf* (niem.) — tylko uważaj. [przypis edytorski]

[26] *wieviel* (niem.) — ile. [przypis edytorski]

[27] *gemacht?* (niem.) — zrobione? [przypis edytorski]

— Te, uważaj — mówi Francuz, odrzucając pustą butelkę, aż pryska gdzieś dalej na szynach — forsy nie bierz, bo może być rewizja. Zresztą na cholerę ci forsa i tak masz co jeść. Ubrania też nie bierz, bo to jest podejrzenie o ucieczkę. Koszulę bierz, ale tylko jedwabną i z kołnierzykiem. Pod spód gimnastyczna. A jak znajdziesz coś do picia, to mnie nie wołaj. Dam sobie rady i uważaj, żebyś nie oberwał.

— Biją?

— Rzecz normalna. Trzeba mieć oczy w plecach. *Arschaugen*[28].

Wokół nas siedzą Grecy, ruszają łapczywie żuchwami, jak wielkie, nieludzkie owady, żrą łakomie zbutwiałe grudy chleba. Są zaaferowani, nie wiedzą, co będą robić. Niepokoją ich belki i szyny. Nie lubią dźwigania.

— *Was wir arbeiten?*[29] — pytają.

— *Niks. Transport kommen, alles Krematorium, compris?*[30]

— *Alles verstehen*[31] — odpowiadają w krematoryjnym esperanto. Uspokajają się: nie będą ładować szyn na auta ani nosić belek.

Tymczasem na rampie robiło się coraz gwarniej i tłoczniej. *Vorarbeiterzy* dzielili sobie grupy, przeznaczając jednych do otwierania i rozładowywania wagonów, które przyjść mają, innych pod drewniane schodki i wyjaśniając im celowe działanie. Były to przenośne, wygodne, szerokie schodki, jakby wejście na trybunę. Zajeżdżały z warkotem motocykle wiozące obsypanych srebrem odznak podoficerów SS, tęgich, spasionych mężczyzn, o wypolerowanych oficerskich butach i błyszczących, chamskich twarzach. Niektórzy przyjechali z teczkami, inni mieli giętkie, trzcinowe kije. Nadawało im to służbowy i sprężysty wygląd. Wchodzili do kantyny, bo ów mizerny barak był ich kantyną, gdzie latem pili wodę mineralną — *Studentenquelle* — a zimą ogrzewali się gorącym winem, witali się państwowo wyciągniętym po rzymsku ramieniem, a potem kordialnie potrząsali prawice, uśmiechali się serdecznie do siebie, rozmawiali o listach, o wiadomościach z domu, o dzieciach, pokazywali sobie fotografie. Niektórzy dostojnie przechadzali się po placu, żwir chrzęścił, buty chrzęściły, srebrne kwadraty błyszczały na kołnierzach, a bambusowe laseczki świstały niecierpliwie.

Różnopasiasty tłum leżał pod szynami w wąskich pasach cienia, oddychał ciężko i nierówno, gadał po swojemu, leniwie i obojętnie patrzył na majestatycznych ludzi w zielonych mundurach, na zieleń drzew, bliską i nieosiągalną, na wieżę dalekiego kościółka, z której dzwoniono właśnie na spóźniony Anioł Pański.

Strach, Rozpacz

— Transport idzie — rzekł któryś i wszyscy unieśli się w oczekiwaniu. Zza zakrętu wychodziły towarowe wagony: pociąg pchał się tyłem, kolejarz stojący na breku[32] wychylił się, zamachał ręką, gwizdnął. Lokomotywa przeraźliwie odgwizdnęła, sapnęła, pociąg potoczył się wolno wzdłuż stacji. W małych zakratowanych okienkach widać było twarze ludzkie, blade, zmięte, jakby niewyspane, rozczochrane — przerażone kobiety, mężczyzn, którzy, rzecz egzotyczna, mieli włosy. Mijali powoli, przyglądali się stacji w milczeniu. Wtedy wewnątrz wagonów zaczęło się coś kotłować i dudnić w drewniane ściany.

— Wody! Powietrza! — zerwały się głuche, rozpaczliwe okrzyki.

Z okien wychylały się twarze ludzkie, usta chwytały rozpaczliwie powietrze. Zaczerpnąwszy kilka łyków powietrza, ludzie z okien nikli, na ich miejsce wdzierali się inni i tak samo znikali. Krzyki i rzężenia stawały się coraz głośniejsze.

Człowiek w zielonym mundurze, bardziej niż inni obsypany srebrem, skrzywił usta z niesmakiem. Zaciągnął się papierosem, odrzucił go nagłym ruchem, przełożył teczkę z prawej do lewej i skinął na posta. Ten powoli ściągnął automat z ramienia, złożył się i przeciągnął serią po wagonach. Ucichło. Tymczasem podjeżdżały ciężarówki, podstawiono pod nie stołki, rozstawiono się fachowo przy wagonach. Olbrzym z teczką skinął ręką.

— Kto weźmie złoto albo cokolwiek innego nie do jedzenia, będzie rozstrzelany jako złodziej własności Rzeszy. Zrozumiano? *Verstanden*?

---

[28] *Arschaugen* (niem.) — oczy w dupie. [przypis edytorski]

[29] *Was wir arbeiten?* (niem., zniekszt.) — Przy czym będziemy pracować? [przypis edytorski]

[30] *Niks. Transport kommen, alles Krematorium, compris?* (niem. i fr. zniekszt.) — Przy niczym. Transport idzie, wszyscy do krematorium, rozumiecie? [przypis edytorski]

[31] *Alles verstehen* (niem. zniekszt.) — zrozumiano. [przypis edytorski]

[32] *brek* — wóz, powóz bez osłon bocznych. [przypis edytorski]

— *Jawohl*![33] — wrzaśnięto nierówno i indywidualnie, aczkolwiek z dobrą wolą.

— *Also loos*![34] Do pracy!

Szczęknęły rygle, wagony otwarto. Fala świeżego powietrza wdarła się do środka, uderzając ludzi jakby czadem. Niezmiernie zbici, przytłoczeni potworną ilością bagażu, waliz, walizeczek, walizek, plecaków, tłumoków wszelkiego rodzaju (wieźli bowiem to wszystko, co stanowiło ich dawne życie, a miało rozpocząć przyszłe), gnieździli się w strasznej ciasnocie, mdleli od upału, dusili się i dusili innych. Teraz skupili się przy otwartych drzwiach, dysząc jak ryby wyrzucone na piasek.

— Uwaga, wysiadać z rzeczami. Zabierać wszystko. Wszystkie te swoje klamoty składać koło wagonu na kupę. Palta oddawać. Jest lato. Maszerować na lewo. Zrozumiano?

— Panie, co z nami będzie? — zeskakują już na żwir, niespokojni, roztrzęsieni.

— Skąd jesteście?

— Sosnowiec, Będzin. Panie, co to będzie? — uparcie powtarzają pytania, wpatrując się żarliwie w cudze zmęczone oczy.

— Nie wiem, nie rozumiem po polsku.

Kłamstwo, Śmierć

Jest prawo obozu, że ludzi idących na śmierć oszukuje się do ostatniej chwili Jest to jedyna dopuszczalna forma litości. Upał ogromny. Słońce osiągnęło zenit, rozpalone niebo dygoce, powietrze faluje, wiatr, który chwilami przewiewa przez nas, to rozparzone, ciekłe powietrze. Wargi już są popękane, czuje się w ustach słony smak krwi Od długiego leżenia na słońcu ciało jest słabe i oporne. Pić, och, pić.

Wylewa się z wagonu różnobarwna fala, objuczona, podobna do ogłupiałej, ślepej rzeki, która szuka nowego koryta. Ale zanim oprzytomnieją, uderzeni świeżym powietrzem i zapachem zieleni, już im pakunki wyrywa się z rąk, ściąga się palta, kobietom wyrywa się torebki, odbiera parasole.

— Panie, panie, ale to od słońca, ja nie mogę...

— *Verboten*[35] — szczeka się przez zęby, sycząc głośno.

Za plecami stoi esesman, spokojny, opanowany, fachowy.

— *Meine Herrschaften*, moi państwo, nie rozrzucajcie tak rzeczy. Trzeba okazać trochę dobrej woli — Mówi dobrotliwie, a denka trzcina gnie mu się nerwowo w rękach.

— Tak jest, tak jest — odpowiadają wielogłośnie, przechodząc i raźniej idą wzdłuż wagonów. Jakaś kobieta schyla się szybko podnosząc torebkę, świsnęła trzcina, kobieta krzyknęła, potknęła się i upadła pod nogi tłumu. Dziecko biegnące za nią pisnęło: „Mamełe!" — taka mała, rozczochrana dziewczynka.

Rośnie kupa rzeczy, walizek, tłumoków, plecaków, pledów, ubrań, torebek, które padając otwierają się i wysypują barwne tęczowe banknoty, złoto, zegarki, przed drzwiami wagonów piętrzą się stosy chleba, gromadzą słoiki różnobarwnych marmolad, powideł, pęcznieją zwały szynek, kiełbasy, rozsypuje się po żwirze cukier. Zapchane ludźmi auta odjeżdżają z piekielnym warkotem, wśród zawodzenia i wrzasku kobiet opłakujących dzieci i ogłupiałego milczenia nagle osamotnionych mężczyzn. To ci, co poszli na prawo — młodzi i zdrowi — ci pójdą na lager. Gaz ich nie minie, ale wpierw będą pracować.

Auta odjeżdżają i wracają, bez odpoczynku, jak na potwornej taśmie. Bez przerwy jeździ karetka Czerwonego Krzyża. Olbrzymi krwawy krzyż na masce motoru roztapia się w słońcu. Niezmordowanie jeździ karetka Czerwonego Krzyża: to właśnie w niej wozi się gaz, gaz, którym trują tych ludzi.

Ci z Kanady, którzy są przy schodkach, nie mają chwili wytchnienia, oddzielają tych do gazu, od tych, co idą na lager, wypychają pierwszych na schody, ubijają na aucie, na każde sześćdziesięciu, tak plus-minus.

Z boku stoi młody, gładko wygolony pan, esesman z notatnikiem w ręku; każde auto to kreska, jak odjedzie szesnaście aut, to jest tysiąc, tak plus-minus. Pan jest zrównoważony i dokładny. Nie odjedzie auto bez jego wiedzy i jego kreski: *Ordnung muss sein*[36]. Kreski pęcznieją w tysiące, tysiące w całe transporty, o których mówi się krótko „z Salonik", „ze Strasburga", „z Rotterdamu". O tym będzie się już dziś mówiło „Będzin". Ale na stałe uzyska nazwę „Będzin-Sosnowiec". Ci, którzy pójdą na lager z tego transportu

[33] *Jawohl!* (niem.) — tak jest! [przypis edytorski]

[34] *Also loos!* (niem.) — więc śmiało! [przypis edytorski]

[35] *verboten* (niem.) — zabronione. [przypis edytorski]

[36] *Ordnung muss sein* (niem.) — musi być porządek. [przypis edytorski]

dostaną numery — 131–132. Rozumie się tysięcy, lecz w skrócie będzie się mówiło właśnie tak — 131–132.

Transporty rosną w tygodnie, miesiące, lata. Gdy skończy się wojna, będą liczyć spalonych. Naliczą cztery i pół miliona. Najkrwawsza bitwa wojny, największe zwycięstwo solidarnych i zjednoczonych Niemiec. *Ein Reich, ein Volk, ein Führer* — i cztery krematoria. Ale krematoriów będzie w Oświęcimiu szesnaście, zdolnych spalić pięćdziesiąt tysięcy dziennie. Obóz rozbuduje się, aż się oprze naelektryzowanym drutem o Wisłę, zamieszka go trzysta tysięcy ludzi w pasiakach, będzie się zwał *Verbrecher-Stadt* — „Miasto Przestępców". Nie, ludzi nie zabraknie. Spalą się Żydzi, spalą się Polacy, spalą się Rosjanie, przyjdą ludzie z zachodu i południa, z kontynentu i wysp. Przyjdą ludzie w pasiakach, odbudują zburzone miasta niemieckie, zaorzą odłogiem leżącą ziemię, a gdy osłabną w bezlitosnej pracy, w wiecznym *Bewegung*! *Bewegung*![37] — otworzą się drzwi gazowych komór. Komory będą ulepszone, oszczędniejsze, sprytniej zamaskowane. Będą jak te w Dreźnie, o których już chodzą legendy.

Już się opróżniły wagony. Chudy, ospowaty esesman spokojnie zagląda do środka, kiwa głową z niesmakiem, ogarnia nas spojrzeniem i wskazuje wnętrze.

— *Rein*. Oczyścić!

Wskakuje się do środka. Porozrzucane po kątach wśród kału ludzkiego i pogubionych zegarków leżą poduszone, podeptane niemowlęta, nagie potworki o ogromnych głowach i wydętych brzuchach. Wynosi się je jak kurczaki, trzymając po parę w jednej garści.

— Nie nieś ich na auto. Oddaj kobietom — mówi, zapalając papierosa esesman. Zapalniczka mu się zacięła, jest nią bardzo zaaferowany.

— Bierzcie te niemowlęta, na litość boską — wybucham, bo kobiety z przerażeniem uciekają ode mnie, wtulając głowy w ramiona.

Dziwnie niepotrzebnie pada imię Boga, bo kobiety z dziećmi idą na auto, wszystkie, nie ma wyjątku. Wiemy wszyscy dobrze, co to znaczy, i patrzymy na siebie z nienawiścią i przerażeniem.

— Co, brać nie chcecie? — powiedział jakby ze zdziwieniem i wyrzutem ospowaty esesman i począł odpinać rewolwer.

— Nie trzeba strzelać, ja wezmę.

Siwa, wysoka pani wzięła ode mnie niemowlęta i przez chwilę patrzyła mi prosto w oczy.

— Dziecko, dziecko — szepnęła, uśmiechając się. Odeszła, potykając się na żwirze.

Oparłem się o ścianę wagonu. Byłem bardzo zmęczony. Ktoś szarpie mnie za rękę.

— *En avant*[38], pod szyny, chodź!

Patrzę, twarz skacze mi przed oczyma, rozpływa się, miesza się, olbrzymia, przezroczysta, z drzewami nieruchomymi, nie wiadomo dlaczego czarnymi, z przelewającym się tłumem... Mrugam ostro powiekami: Henri.

— Słuchaj, Henri, czy my jesteśmy ludzie dobrzy? Dobro, Okrucieństwo

— Czemu się głupio pytasz?

— Widzisz, przyjacielu, wzbiera we mnie zupełnie niezrozumiała złość na tych ludzi, że przez nich muszę tu być. Nie współczuję im wcale, że idą do gazu. Żeby się ziemia pod nimi wszystkimi rozstąpiła. Rzuciłbym się na nich z pięściami. Przecież to jest patologiczne chyba, nie mogę zrozumieć.

— Och, wprost przeciwnie, to normalne, przewidziane i obliczone. Męczy cię rampa, buntujesz się, a złość najłatwiej wyładować na słabszym. Pożądane jest nawet, abyś ją wyładował. To tak na chłopski rozum, *compris*? — mówi nieco ironicznie Francuz, wygodnie układając się pod szynami. — Patrz na Greków, ci umieją korzystać! Żrą wszystko, co im pod rękę wlizie; przy mnie zjadł jeden słoik marmolady. Głód

— Bydło. Jutro połowa z nich zdechnie na sraczkę.

— Bydło? Ty też byłeś głodny.

— Bydło — powtarzam zawzięcie. Zamykam oczy, słyszę krzyki, czuję drżenie ziemi i parne powietrze na powiekach. W gardle zupełnie sucho.

[37] *Bewegung! Bewegung!* (niem.) — ruchy! ruchy! [przypis edytorski]
[38] *En avant* (fr.) — Naprzód, dalej! [przypis edytorski]

Ludzie płyną i płyną, auta warczą jak rozjuszone psy. W oczach przesuwają się trupy wynoszone z wagonów, zdeptane dzieci, kaleki poukładane razem z trupami, i tłum, tłum, tłum... Wagony podtaczają się, stosy łachów, waliz i plecaków rosną, ludzie wychodzą, przyglądają się słońcu, oddychają, żebrzą o wodę, wchodzą na auta, odjeżdżają. Znów podchodzą wagony, znów ludzie... Czuję, jak obrazy mieszają się we mnie, nie wiem, czy to się naprawdę dzieje, czy mi się śni. Widzę nagle jakąś zieleń drzew, które kołyszą się wraz z całą ulicą, z barwnym tłumem, ale — to Aleje! Szumi mi w głowie, czuję, że będę wymiotował.

Henri szarpie mnie za ramię.

— Nie śpij, idziemy ładować klamoty.

Już nie ma ludzi. Ostatnie auta suną daleko po szosie, wzniecając olbrzymie tumany kurzu, pociąg odjechał, po opustoszałej rampie chodzą dostojnie esesmani, świecąc srebrem na kołnierzach. Połyskują glansem buty, błyszczą czerwono nalane twarze. Wśród nich kobieta, teraz dopiero uświadamiam sobie, że była tu cały czas, wysuszona, bezpiersna, koścista. Rzadkie, bezbarwne włosy gładko przyczesała w tył i związała w „nordycki" węzeł, ręce wsunęła w szerokie spodnie-spódnicę. Chodzi z kąta w kąt rampy z przylepionym na wyschłe wargi szczurzym, zawziętym uśmiechem. Nienawidzi urody kobiecej nienawiścią kobiety obrzydliwej i zdającej, sobie z tego sprawę. Tak, już ją nieraz widziałem i dobrze zapamiętałem: to komendantka FKL, przyszła oglądać swój nabytek, bo część kobiet odstawiono do aut i te pójdą piechotą — na lager. Nasi chłopcy, fryzjerzy z Zauny, pozbawiają je całkowicie włosów i będą mieli wiele uciechy z ich wolnościowego wstydu.

Ładujemy więc klamoty. Dźwigamy ciężkie walizy, pakowne, zasobne, rzucamy je z wysiłkiem na auto. Tam układa się je w stosy, ubija się, upycha, rżnie, co się da, nożem — dla przyjemności i w poszukiwaniu wódki i perfum, które wylewa się wprost na siebie. Jedna z waliz otwiera się, wypadają ubrania, koszule, książki... Chwytam jakieś zawiniątko: ciężkie; rozwijam: złoto, dwie dobre garście: koperty, bransolety, pierścionki, kolie, brylanty.

— *Gib her*[39] — spokojnie mówi esesman, nadstawiając otwartą teczkę, pełną złota i barwnej, obcej waluty. Zamyka ją, oddaje oficerowi, bierze inną, pustą, i czatuje przy innym samochodzie. To złoto pójdzie do Rzeszy.

Upał, ogromny upał. Powietrze stoi nieruchomym, rozżarzonym słupem. Gardła są suche, każde wymówione słowo wywołuje ból. Och, pić. Gorączkowo, byle prędzej, byle do cienia, byle odpocząć. Kończymy ładować, ostatnie auta odjeżdżają, zbieramy skrzętnie znad toru wszelkie papierki, wygrzebujemy spomiędzy drobnego żwiru nietutejszy, transportowy brud, „żeby śladu po tym obrzydlistwie nie zostało", i w chwili gdy ostatnia ciężarówka znika za drzewami, a my idziemy — nareszcie! — w stronę szyn odpocząć i napić się (może Francuz kupi znów od posta?), zza zakrętu słychać gwizdek kolejarza. Powoli, niezmiernie powoli wtaczają się wagony, przeraźliwie odgwizduje lokomotywa, z okien patrzą twarze wymięte i blade, płaskie, jakby wycięte z papieru, o ogromnych, płonących gorączką oczach. Już są auta, już jest spokojny pan z notatnikiem, już z kantyny wyszli esesmani z teczkami na złoto i pieniądze. Otwieramy wagony.

Nie, już nie można nad sobą panować. Wyrywa się ludziom brutalnie walizki z rąk, szarpiąc ściąga się palta. Idźcie, idźcie, przemińcie. Idą, przemijają. Mężczyźni, kobiety, dzieci. Niektórzy z nich wiedzą.

Matka, Dziecko, Strach, Rozpacz

Oto idzie szybko kobieta, śpieszy się nieznacznie, ale gorączkowo. Małe, kilkuletnie dziecko o zarumienionej, pyzatej twarzy cherubinka biegnie za nią, nie może nadążyć, wyciąga rączki z płaczem: — Mamo! mamo!

— Kobieto, weźże to dziecko na ręce!

— Panie, panie, to nie moje dziecko, to nie moje! — krzyczy histerycznie kobieta i ucieka, zakrywając rękoma twarz. Chce skryć się, chce zdążyć między tamte, które nie pojadą autem, które pójdą pieszo, które będą żyć. Jest młoda, zdrowa, ładna, chce żyć.

Ale dziecko biegnie za nią, skarżąc się na cały głos:

— Mamo, mamo, nie uciekaj!

— To nie moje, nie moje, nie!

[39] *Gib her* (niem.) — daj mi to. [przypis edytorski]

Aż dopadł ją Andrej, marynarz z Sewastopola. Oczy miał mętne od wódki i upału. Dopadł ją, zbił z nóg jednym, zamaszystym uderzeniem ramienia, padającą chwycił za włosy i dźwignął z powrotem do góry. Twarz miał wykrzywioną wściekłością.

— Ach, ty, *jebit twoju mat', blad' jewrejskaja*[40]! To ty od swego dziecka uciekasz! Ja tobi dam, ty kurwo! — Chwycił ją wpół, zadławił łapą gardło, które chciało krzyczeć, i wrzucił ją z rozmachem jak ciężki wór zboża na auto.

— Masz! Weź i to sobie! Suko! — i cisnął jej dziecko pod nogi.

— *Gut gemacht*[41], tak należy karać wyrodne matki — rzekł esesman stojący przy samochodzie.

— *Gut, gut*[42] Ruski.

— *Małczy!*[43] — warknął przez zęby Andrej i odszedł do wagonów. Spod kupy szmat wyciągnął ukrytą manierkę, odkręcił, przytknął do ust sobie, potem mnie. Parzy gardło spirytus. Głowa szumi, nogi uginają się, zbiera się na torsje.

Raptem spośród tej całej fali ludzkiej, która parła ślepo w stronę aut jak rzeka pchana niewidzialną siłą, wynurzyła się dziewczyna, zeskoczyła lekko z wagonu na żwir, spojrzała dokoła badawczym okiem, jak człowiek, który czemuś bardzo się dziwi.

Bujne jasne włosy rozsypały się miękką falą na ramiona, strząsnęła je niecierpliwie. Przesunęła odruchowo rękoma po bluzeczce, poprawiła nieznacznie spódniczkę. Stała tak chwilę. Wreszcie oderwała wzrok od tłumu i przesunęła spojrzeniem po naszych twarzach, jakby kogoś szukając. Nieświadomie szukałem jej wzroku, oczy nasze spotkały się.

— Słuchaj, słuchaj, powiedz, dokąd oni nas powiozą?

Kobieta, Piękno, Pogarda

Patrzyłem na nią. Oto stoi przede mną dziewczyna o cudnych, jasnych włosach, o ślicznych piersiach, w batystowej, letniej bluzeczce, o mądrym, dojrzałym spojrzeniu. Stoi, patrzy mi prosto w twarz i czeka. Oto komora gazowa: wspólna śmierć, ohydna i obrzydliwa. Oto obóz: z ogoloną głową, watowane sowieckie spodnie na upał, wstrętny, mdły zapach brudnego, rozparzonego ciała kobiecego, zwierzęcy głód, nieludzka praca i ta sama komora, tylko śmierć jeszcze ohydniejsza, jeszcze obrzydliwsza, jeszcze straszniejsza. Kto raz tu wszedł, nawet popiołów swoich nie wyniesie na *postenkettę*, nie wróci do tamtego żyda.

„Po cóż ona to przywiozła, przecież i tak jej zabiorą" — pomyślałem mimo woli, dostrzegłszy na przegubie ręki śliczny zegarek o drobniutkiej złotej bransoletce. Taki sam miała Tuśka, tylko na czarnej, wąskiej tasiemce.

— Słuchaj, odpowiedz.

Milczałem. Zacisnęła usta.

— Już wiem — rzekła z odcieniem pańskiej pogardy w głosie, odrzucając w tył głowę; śmiało poszła w stronę samochodów. Ktoś ją chciał zatrzymać, odsunęła go śmiało na bok i wbiegła po schodkach na wypełnione już prawie auto. Zobaczyłem tylko z daleka bujne, jasne włosy, rozwiane w pędzie.

Wchodziłem do wagonów, wynosiłem niemowlęta, wyrzucałem bagaże. Dotykałem się trupów, ale nie mogłem przemóc wzbierającego dzikiego strachu. Uciekałem od nich, ale leżały wszędzie; poukładane pokotem na żwirze, na cementowym skraju peronu, w wagonach. Niemowlęta, ohydne nagie kobiety, poskręcani w konwulsjach mężczyźni. Uciekam jak najdalej. Ktoś mnie smaga trzciną po plecach, kątem oka dostrzegam klnącego esesmana, wymykam mu się i mieszam się w grupie pasiastej Kanady. Wreszcie znów włażę pod szyny. Słońce pochyliło się głęboko nad horyzontem i krwawym, zachodzącym światłem oblało rampę. Cienie drzew wydłużały się upiornie; w ciszy, która w naturze zapada pod wieczór, ludzki krzyk bił w niebo coraz głośniej i natarczywiej.

Dopiero stąd, spod szyn, widać było całe piekło kotłującej się rampy. Oto para ludzi padła na ziemię, spleciona rozpaczliwym uściskiem. On wbił kurczowo palce w jej ciało, zębami chwycił za ubranie. Ona krzyczy histerycznie, przeklina, bluźni, aż przyduszona butem rzęzi i milknie. Rozszczepiają ich jak drzewo i wpędzają jak zwierzęta na auto. Oto czterech z Kanady dźwiga trupa; olbrzymią, opuchłą babę, klną i pocą się z wysiłku, kopniakami odganiają zabłąkane dzieci, które plączą się po wszystkich kątach

[40]*jebit twoju mat', blad' jewrejskaja* (ros.) — jebać twoją matkę, ty kurwo żydowska. [przypis edytorski]
[41]*gut gemacht* (niem.) — dobrze zrobione. [przypis edytorski]
[42]*gut, gut* (niem.) — dobrze, dobrze. [przypis edytorski]
[43]*małczy* (ros.) — milcz. [przypis edytorski]

rampy, wyjąc przeraźliwie jak psy. Chwytają je za karki, za łby, za ręce i wrzucają na kupę, na ciężarówki. Tamtych czterech nie da rady dźwignąć baby na auto, wołają innych i zbiorowym mozołem wpychają górę mięsa na platformę. Z całej rampy znosi się trupy wielkie, nabrzmiałe, opuchnięte. Między nie ciska się kaleki, sparaliżowanych, przyduszonych, nieprzytomnych. Góra trupów kotłuje się, skowyczy, wyje. Szofer zapuszcza motor, Odjeżdża.

— *Halt! halt!*— wrzeszczy z daleka esesman. — Stój, stój, do cholery!

Wloką starca we fraku, z opaską na ramieniu. Starzec głową tłucze o żwir, o kamienie, jęczy i bezustannie, monotonnie zawodzi: „*Ich will mit dem Herrn Kommendanten sprechen* — chcę mówić z panem komendantem". Powtarza to ze starczym uporem całą drogę. Wrzucony na auto, przydeptany czyjąś nogą, przyduszony, wciąż rzęzi: „*Ich will mit dem…*".

— Człowieku, uspokój się, ale! — woła do niego młody esesman, zaśmiewając się głośno — za pół godziny będziesz gadał z największym komendantem! Tylko nie zapomnij powiedzieć mu *Heil Hitler!*[44]

Inni niosą dziewczynkę bez nogi; trzymają ją za ręce i za tę jedną, pozostałą nogę. Łzy ciekną jej po twarzy, szepce żałośnie: „Panowie, to boli, boli...". Ciskają ją na auto między trupy. Spali się żywcem wraz z nimi.

Zapada wieczór chłodny i gwiaździsty. Leżymy na szynach, jest niezmiernie cicho. Na wysokich słupach palą się anemiczne lampy, za kręgiem światła rozciąga się nieprzenikniona ciemność Krok w nią i człowiek znika bezpowrotnie. Ale oczy postów patrzą uważnie. Automaty są gotowe do strzału.

— Wymieniłeś buty? — pyta mnie Henri.

— Nie.

— Czemu?

— Człowieku, ja mam dosyć, kompletnie dosyć!

— Już po pierwszym transporcie? Pomyśl, ja — od Bożego Narodzenia przewinęło się przez moje ręce chyba z milion ludzi. Najgorsze są transporty spod Paryża: zawsze człowiek spotyka znajomych.

— I co im mówisz?

— Że idą się kąpać, a potem spotkamy się w obozie. A ty byś co powiedział?

Milczę. Pijemy kawę zmieszaną ze spirytusem, ktoś otwiera puszkę kakao, miesza z cukrem. Czerpie się to dłonią, kakao zalepia usta. Znów kawa, znów spirytus.

— Henri, na co my czekamy?

— Będzie jeszcze jeden transport. Ale nie wiadomo.

— Jeżeli przyjdzie, to ja nie pójdę go rozładowywać. Nie dam rady.

— Wzięło cię, co? Dobra Kanada?! — Henri uśmiecha się dobrotliwie i znika w ciemności. Po chwili wraca.

— Dobrze. Tylko uważaj, żeby cię esesman nie złapał. Będziesz tu cały czas siedział. A buty ci skombinuję.

— Daj mi spokój z butami.

Chce mi się spać. Jest głęboka noc.

Znów *antreten*, znów transport. Z ciemności wynurzają się wagony, przechodzą przez pas światła i znów znikają w mroku. Rampa jest mała, ale krąg światła jest jeszcze mniejszy. Będziemy wyładowywać kolejno. Gdzieś warczą auta, podjeżdżają pod schodki upiornie czarne, reflektorami oświetlają drzewa. *Wasser! Luft!* Znów to samo, spóźniony seans tego samego filmu: strzelają serią automatu, wagony uspokajają się. Tylko jakaś dziewczynka wychyliła się do pół ciała z okienka wagonu i straciwszy równowagę upadla na żwir. Chwilę leżała ogłuszona, wreszcie podniosła się i zaczyna chodzić w kółko, coraz prędzej i prędzej, sztywno wymachując rękoma jak na gimnastyce, łapiąc głośno powietrze i wyjąc monotonnie, piskliwie. Dusząc się — dostała obłędu. Działa na nerwy, więc podbiegł do niej esesman, okutym butem kopnął w plecy: upadła. Przydeptał ją nogą, wyjął rewolwer, strzelił raz i drugi: została, kopiąc nogami ziemię, aż znieruchomiała. Poczęto otwierać wagony.

[44] *Heil Hitler!* (niem.) — chwała Hitlerowi, pozdrowienie nazistowskie. [przypis edytorski]

Byłem znów przy wagonach. Buchnął ciepły, słodki zapach. Góra ludzka zapełniała wagon do połowy, nieruchoma, potwornie poplątana, ale jeszcze parująca.

— *Ausladen*[45]! — rozległ się głos esesmana wynurzającego się z ciemności. Na piersiach miał zawieszony przenośny reflektor. Zaświecił do wnętrza.

— Co stoicie wy tak głupio? Wyładować! — i świsnął kijem przez plecy. Chwyciłem ręką trupa: dłoń jego kurczowo zawarła się wokół mojej ręki. Szarpnąłem z krzykiem i uciekłem. Serce mi łomotało, dławiło gardło. Mdłości zgniotły mnie naraz. Wymiotowałem, skulony pod wagonem. Chwiejąc się, przekradłem się pod szyny.

Leżałem na dobrym, chłodnym żelazie i marzyłem o powrocie do obozu, o pryczy, na której nie ma siennika, o odrobinie snu wśród towarzyszy, którzy w nocy nie pójdą do gazu. Naraz obóz wydał mi się jakąś zatoką spokoju. Wciąż umierają inni, samemu się jeszcze jakoś żyje, ma się co jeść, ma się siły do pracy, ma się ojczyznę, dom, dziewczynę...

Światła migocą upiornie, fala ludzi płynie bez końca, mętna, zgorączkowana, ogłupiała. Wydaje się tym ludziom, że rozpoczynają nowe życie w obozie i psychicznie przygotowują się na ciężką walkę o byt. Nie wiedzą, że zaraz umrą i że złoto, pieniądze, brylanty, które zapobiegliwie ukrywają w fałdach i szwach ubrania, w obcasach butów, w zakamarkach ciała — już im nie będą potrzebne. Fachowi, rutynowani ludzie będą im grzebać we wnętrznościach, wyciągną złoto spod języka, brylanty z macicy i kiszki odchodowej. Wyrwą im złote zęby. W zabitych szczelnie skrzyniach odeślą do Berlina.

Czarne postacie esesmanów chodzą spokojne, fachowe. Pan z notatnikiem w ręku robi ostatnie kreski, dopełnia liczby: piętnaście tysięcy.

Dużo, dużo aut pojechało do krematorium.

Już kończą. Trupy porozkładane na rampie zabiera ostatnie auto, klamoty są załadowane. Kanada objuczona chlebami, marmoladą, cukrem, pachnąca perfumami i czystą bielizną, ustawia się do odmarszu. Kapo kończy ładowania kotła od herbaty złotem, jedwabiami i czarną kawą. To na bramę dla wachmanów: puszczą komando bez kontroli. Parę dni obóz będzie żył z tego transportu: zjadał jego szynki i kiełbasy, konfitury i owoce, pił jego wódki i likiery, będzie chodził w jego bieliźnie, handlował jego złotem i tłumokami. Wiele wyniosą cywile za obóz, na Śląsk, do Krakowa i dalej. Przywiozą papierosy, jajka, wódkę i listy z domu.

Parę dni będzie obóz mówił o transporcie „Sosnowiec-Będzin". Był to dobry, bogaty transport.

Gdy wracamy do obozu, gwiazdy poczynają blednąć, niebo staje się coraz bardziej przezroczyste, podnosi się nad nami, noc przejaśnia się. Zapowiada się pogodny, upalny dzień.

Z krematoriów ciągną potężne słupy dymów i łączą się w górze w olbrzymią, czarną rzekę, która niezmiernie powoli przewala się przez niebo nad Birkenau i niknie za lasami w stronę Trzebini. Transport sosnowiecki już się pali.

Mijamy oddział SS idący z bronią maszynową na zmianę warty. Idą równo, człowiek przy człowieku, jedna masa, jedna wola.

— *Und morgen die ganze Welt*...[46] — śpiewają na całe gardło.

— *Rechts ran*! Na prawo! — pada od czoła komenda. Usuwamy się im z drogi.

[45] *ausladen* (niem.) — rozładować! [przypis edytorski]

[46] *Und morgen die ganze Welt…* — fragment popularnej piosenki nazistowskiej napisanej przez Hansa Baumanna. Cytowany wers brzmi: „*Denn heute da hört uns Deutschland / Und morgen die ganze Welt*" (z niem.: „Więc dziś słyszą nas Niemcy, / a jutro cały świat). [przypis edytorski]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.
Ten utwór jest w domenie publicznej.
Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.
Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/borowski-prosze-panstwa-do-gazu/

Tekst opracowany na podstawie: Tadeusz Borowski, Pożegnanie z Marią i inne opowiadania, PIW, Warszawa 1971.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (http://wolnelektury.pl).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopeć-Gryz, Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-6480-1

*Wesprzyj Wolne Lektury!*
Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.
Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*
Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.
Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.
Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.